

Iwona Kabzińska

## TORUŃ Z ODDALI (MIGAWKI WSPOMNIENI)<sup>1</sup>

Są miejsca, do których chętnie wracam pamięcią, o których myślę i mówię ze wzruszeniem, które kojarzą mi się zdecydowanie pozytywnie. Jednym z takich miejsc, niezwykle dla mnie ważnym, jest Toruń.

Słyszałam o nim od dziecka: miasto Kopernika, Planetarium, pierniki (niepowtarzalny kształt, zapach i smak toruńskich „katarzynek”). W Toruniu nie miałam nikogo, kogo mogłabym odwiedzić. Szkoły, do których chodziłam, nie organizowały wycieczek do tego miasta. Leżało też ono daleko od wakacyjnych szlaków ukochanych przez moją rodzinę (latem najczęściej jeździliśmy nad Bałtyk, zimą – w Tatry). Po raz pierwszy przyjechałam do Torunia wczesną wiosną 2000 r., na zaproszenie dr. Wojciecha Olszewskiego, reprezentującego ówczesny Zakład Etnologii Instytutu Archeologii i Etnologii UMK.

Zostałam poproszona o wygłoszenie wykładu dla studentów toruńskiej etnologii. Przyjechałam pociągiem z Warszawy, koło południa. Miałam kilka godzin, by pospacerować. Chciałam zobaczyć Starówkę, wpisaną (w 1997 roku) na listę UNESCO. Niektóre zabytki znałam z fotografii prasowych, albumów i pocztówek, pokazywały one jednak jedynie fragmenty staromiejskiej przestrzeni, dając

---

<sup>1</sup> Inspiracją do napisania „toruńskich migawek” stał się jubileusz siedemdziesięciolecia narodzin Katedry Etnografii (późniejszej Katedry Etnologii, a następnie Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej) Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

mgliste wyobrażenia o jej rzeczywistych rozmiarach, bogactwie architektonicznym i tajemniczym pięknie zabytkowych budowli. Teraz mogłam zobaczyć to miejsce w całej jego krasie. Wędrowałam cudnymi uliczkami. Zajrzałam na Podmurną 11, gdzie miał swą główną siedzibę ówczesny Instytut Archeologii i Etnologii UMK. Spacerowałam po Rynku, zapomniawszy na dłuższą chwilę o czekającym mnie wykładzie i towarzyszącej mu tremie. Nie czułam się obco. Od momentu, w którym wysiadłam z pociągu na dworcu Toruń Główny nie opuszczało mnie przeświadczenie, że znalazłam się w mieście gościnnym, otwartym, zachęcającym, by do niego wracać.

Wykład odbył się w Collegium Historicum, przy Placu Teatralnym 2a, w sali Rady Wydziału Historycznego. Nie mogę sobie przypomnieć, o czym mówiłam (prawdopodobnie poruszyłam zajmujące mnie szczególnie w tym okresie kwestie związane z pograniczem kulturowym, etnicznością, tożsamością etniczną, narodową i kulturową oraz jej wyznacznikami, mniejszościami etnicznymi, narodowymi), utkwiała mi natomiast mocno w pamięci twarz jednego ze studentów. Jego spojrzenie wydało mi się niezbyt życzliwe, ironiczne. Byłam pewna, że wykład mu się nie spodobał. Kiedy po roku ów student zapisał się na prowadzone przeze mnie seminarium magisterskie, pomyślałam, że chyba niepotrzebnie się niepokoiłam.

Od dr. Olszewskiego dowiedziałam się o planach przekształcenia Zakładu w Katedrę Etnologii (nastąpiło to 1 stycznia 2003 roku), systematycznego poszerzania zakresu zajęć dydaktycznych i prac badawczych. Plany te miały poparcie ówczesnych władz Uczelni. Wyrażono też zgodę na zatrudnienie kilku nowych osób. Propozycja pracy na UMK była dla mnie zaskoczeniem. Długo się wahałam, zanim podjęłam decyzję. Nie miałam doświadczenia. Czym innym były pojedyncze wykłady, referaty wygłaszane na konferencjach, PAN-owskie seminaria (pracowałam w Instytucie Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk), czym innym – praca na uczelni, dydaktyka w pełnym wymiarze. Nigdy wcześniej nie prowadziłam ćwiczeń, konwersatoriów, seminariów magisterskich, nie opiekowałam się osobami przygotowującymi licencjaty. Musiałam się tego nauczyć, znaleźć własną drogę. Postanowiłam spróbować, zmierzyć się z nowym wyzwaniem. 1 października 2000 roku rozpoczęłam pracę w Zakładzie Etnologii UMK.

Zaproponowano mi prowadzenie wykładów i ćwiczeń z etnologii Europy oraz ogłoszenie cyklu wykładów monograficznych poświęconych Polakom na terenach byłego Związku Radzieckiego. W kolejnych latach prowadziłam również konwersatorium (temat:

„Antropologia wybranych obszarów kulturowych Europy”) i seminaria magisterskie, opiekowałam się studentami przygotowującymi licencjaty.

Przygotowując się do zajęć z etnologii Europy, często myślałam o prof. Annie Zadrożyńskiej. Poznałam ją, kiedy byłam studentką etnografii Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadziła m.in. wykłady i ćwiczenia z etnografii Europy. Uczyla nas rozumienia tego obszaru, jego korzeni kulturowych, zachodzących tu przemian, ich źródeł i następstw.

Na pierwszych zajęciach z etnografii Europy prof. Zadrożyńska poprosiła, byśmy napisali, jak rozumiemy pojęcie „kultura europejska”. Po wielu latach to samo pytanie zadałam swoim studentom, wyjaśniając, że powtarzam sytuację, w jakiej niegdyś znalazłam się sama. Zmieniły się jednak role, zmieniła się też Europa. Ta z czasów mojej młodości różniła się znacznie od tej z początku XXI wieku. Inne było również z pewnością myślenie o kulturze europejskiej, inny dostęp do Europy, możliwości jej poznawania, konfrontacji marzeń z rzeczywistością. Nie mogłam, niestety, porównać wypowiedzi, których autorzy studiowali w odległych od siebie czasach. Takie porównanie byłoby z pewnością ciekawym doświadczeniem.

Wiosną 2003 roku, na rok przed przyjęciem Polski do Unii Europejskiej, rozmawiałam ze studentami I i II roku etnologii oraz MISH<sup>2</sup> o Europie ich marzeń. Zainspirował mnie konkurs pod hasłem „Europa moich marzeń”, zorganizowany przez Stowarzyszenie Młodzi bez Granic, Poczta Polska i Polskie Radio. Poprosiłam studentów, by napisali, w jakiej Europie chcieliby mieszkać. Ich wypowiedzi stały się podstawą artykułu, który ukazał się w „Etnografii Polskiej” (por. Kabzińska I. 2003).

Jak każdy wykładowca musiałam dokonać wyboru zagadnień poruszanych podczas wykładów. Chciałam przede wszystkim pokazać studentom różne możliwości spojrzenia na Europę i zachodzące tu zmiany, na tworzącą ją wielokulturową mozaikę, scharakteryzować różnorodne kierunki badań. Chciałam też wykazać, że etnografia/etnologia Europy przestaje być „dziedzina deficytowa”. W taki sposób określił ją przed laty Witold Dynowski (1963), a po nim – Anna Zadrożyńska (Zadrożyńska-Barącz 1970; zob. też Trojan 1994: 5, 65, 81; więcej patrz Kabzińska I. 2010).

Początkowe spotkania z każdym rocznikiem poświęcałam historii dyscypliny, omówieniu przełomowych dla niej wydarzeń, pokazaniu ewolucji spojrzenia na Europę i jej mieszkańców, reprezentujących

---

<sup>2</sup> Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne.

różne kultury, grupy etniczne, narody. Dziś, moim zdaniem, historii etnografii/etnologii/antropologii kulturowej przydaje się zbyt mało uwagi. Znam osoby, które twierdzą, że znajomość przeszłości poszczególnych dyscyplin i dorobku badaczy, którzy stworzyli swe dzieła w odległych czasach, nie jest konieczna. Nie jest to również, ich zdaniem, obszar wiedzy, który interesowałby studentów.



Oprócz braku doświadczenia w pracy na uczelni, powodem, dla którego długo wahałam się przed podjęciem decyzji o związaniu się (zawodowo) z toruńską etnologią, była obawa przed cotygodniowymi dojazdami pociągiem z Warszawy do Torunia i dłużącymi się zwykle powrotami do domu. Znajomi twierdzili, że pociągi będą jeździły coraz szybciej, w związku z czym czas podróży skróci się znacząco. Tak się jednak nie stało. Przybywało minut spędzonych „w drodze”. Wydłużenia czasu podróży były uwzględnione w zmieniającym się wielokrotnie rozkładzie jazdy. Zmiany te śledziłam z niepokojem, nie wiedziałam bowiem, czy uda mi się pogodzić je z planem zajęć na uczelni. Dłuższy czas podróży pociągiem miał przede wszystkim związek z pracami remontowymi (modernizacyjnymi) prowadzonymi na trasie, którą pokonywałam. Zdarzało się, że pociąg utknął „w szczerym polu”, wystawiając na próbę cierpliwość pasażerów, na ogół jednak docierałam do celu punktualnie lub z kilkuminutowym, niegroźnym, opóźnieniem.

Dojazdy, których początkowo tak bardzo się obawiałam, okazały się niezbyt uciążliwe. Niemal zawsze znajdowałam miejsce siedzące (na trasie Warszawa – Toruń – Warszawa nie obowiązywały miejscówki). Mogłam czytać książki, gazety, sprawdzać prace studenckie, pisać własne teksty. Czasem rozmawiałam z innymi pasażerami, czasem jedynie przysłuchiwałam się prowadzonym przez nich rozmowom, obserwowałam ich zachowania.

Bywało, że po przyjeździe do Torunia czekała mnie niemiła niespodzianka – remont torów tramwajowych lub nawierzchni ulic i związane z nim zmiany w komunikacji miejskiej. Dla osoby nieznającej miasta niewiele wynikało z ogłoszeń umieszczonych na przystankach. Na szczęście zawsze znalazł się ktoś, kto – zapytany – wskazał mi drogę, podpowiedział, jak się poruszać.

Zajęcia zaczynałam we czwartki koło południa. Żeby zdążyć na nie, wstawałam przed piątą. Nie czułam jednak zmęczenia, niewy-

spania. Bardzo szybko przestawiłam się na pół-koczowniczy tryb życia. Przywykłam do niego.

Czwartkowe zajęcia trwały do wieczora. W piątki zaczynałam od rana, kończyłam po popołudniu. Nocowałam w Domu Studenckim nr 10. Lubiłam moment, w którym wchodziłam do hotelowego pokoju, zapalałam światło. Cieszyła mnie powtarzalność „zwykajnych” czynności: mycia rąk, nastawiania wody na herbatę, niespiesznego jedzenia kolacji, czytania, przeglądania notatek. W DS nabierały one nowego, niezwykłego wymiaru.

Lubiłam pogawędki z paniami dyżurującymi w recepcji. Rozmawiałyśmy o rodzinie, pracy, o małych i wielkich radościach lub/i smutkach. Witwałyśmy się i żegnałyśmy serdecznie. Nie byłyśmy dla siebie anonimowymi osobami. Zapamiętałam ich imiona, twarze, radość spotkania. Doskonale pamiętam panią, która robiła na drutach ubrania dla siebie i swojej rodziny. Pokazywała mi je, a ja nie kryłam zachwyty i podziwu dla jej umiejętności.

Któregoś dnia, po wyjściu z DS, poczułam ożywczy zapach rosnących w pobliżu sosen. Odtąd już zawsze chłonełam go z lubością. Szczególnie intensywnie pachniało po deszczu i w słoneczne, upalne dni. Kiedy robiło się ciepło, późnymi popołudniami i wieczorami, przed akademikami gromadziły się grupki studentów. Rozpalano grilla, biesiadowano. Zapach dymu i grillowanego mięsa był drażniący, agresywny. Dominował nad aromatem sosnowego igliwia (natura i kultura, przyroda i człowiek...); nie było to jednak tak uciążliwe jak działająca przez pewien czas w pobliżu DS dyskoteka. Od wczesnego wieczora do późnej nocy dźwięki głośnej muzyki wdzierały się przez zamknięte okna, nie pozwalając zasnąć, odpocząć, oddać się lekturze. Było to bardzo męczące dla wielu osób, z którymi rozmawiałam o nocnych hałasach. W którymś momencie dyskoteka umilkła. Podobno stało się to na skutek interwencji kilku pracowników UMK, korzystających z DS, mających dość nieprzespanych nocy.

Kiedy zaczęłam swoją „toruńską przygodę”, część zajęć odbywała się w budynku przy ul. Gagarina 5, niedaleko pętli autobusowej, część – w Gimnazjum Akademickim (Szosa Chełmińska 83). Przemierzając się autobusami między wspomnianymi punktami, znajdującymi się na mojej toruńskiej mapie, mogłam zobaczyć kawałek miasta, inny niż Starówka czy okolice akademików. Mniej reprezentacyjny, z domami noszącymi ślady zniszczeń, z niewielkimi sklepikami. W jednym z takich sklepików, w pobliżu Gimnazjum Akademickiego, kupiłam materiał w jasnożółtym kolorze, z leciutkim połyskiem. Przemiała pani pracująca w pobliskim zakładzie krajeckim uszyła mi z niego zasłony. Mam je do dziś. Nie są już tak

piękne jak przed laty. Prawdę powiedziawszy, powinnam je wyrzucić, trudno mi jednak rozstać się z nimi. Przypominają mi pierwszy rok pracy w Toruniu.

Nie pamiętam, kiedy przenieśliśmy się z Gagarina 5 do budynku przy Szosie Bydgoskiej 44/48. Oprócz Katedry Etnologii miał tam swą siedzibę Instytut Archeologii UMK. Sąsiadowaliśmy z Merinotexem. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę nazwę, zabrzmiała tajemniczo, mieszkańcy Torunia i okolic znali ją natomiast doskonale. Przez kilkadziesiąt lat toruńska przedziałnia czesankowa była jednym z największych zakładów pracy w mieście (obok Elany), „zakładem sztandarowym”. W roku 2009 Merinotex upadł (patrz Oberlan 2013). Pozostała nazwa, funkcjonująca jako punkt orientacyjny w przestrzeni miasta. Szybko oswoiłam nowe dla mnie miejsce. Kilkakrotnie zdarzyło mi się wskazać drogę osobom pytającym, jak dojść lub dojechać do Merinotexu. Było to sympatyczne doświadczenie, dające poczucie „bycia u siebie”.

Po przeprowadzce na Szosę Bydgoską odległość między DS, w którym nocowałam i Katedrą nieco się wydłużyła, nie stanowiło to jednak dla mnie problemu. Lubię spacerować. Chodziłam „skrótami”, przez osiedle. Przekraczałam ruchliwą ulicę, mijałam garaże i hurtownię, w której, jeśli dobrze pamiętam, przechowywano artykuły chemiczne, środki czystości.

Czasem, gdy szłam do Katedry, wydawało mi się, że silny, chłodny wiatr przynosi zapach morza. *Niemożliwe* – mówiłam – *to za daleko*. Przystawałam jednak na moment, zamykałam oczy, wyobrażając sobie spacer plażą, szumiące fale.

Późną wiosną i latem drogę między Katedrą i DS uprzykrzały chmury meszek i komarów. Cięły mocno, boleśnie, zostawiając brzydkie, czerwone, swędzące ślady. Ilekroć, w różnych miejscach, spotykam te „żyjątka”, przypominam sobie Toruń. Nie myślę jednak o bolesnych ukąszeniach, lecz o miejscu, które wciąż jest mi bliskie.



Pokoje wykładowców i sekretariat Katedry Etnologii UMK (1 kwietnia 2007 roku stała się ona Katedrą Etnologii i Antropologii Kulturowej) mieściły się na parterze. Zajęcia prowadziłam w sali wykładowej i w pomieszczeniach usytuowanych na piętrze.

Dzieliłam pokój z prof. Teresą Dunin-Karwicką. Widywałyśmy się rzadko, przeważnie podczas egzaminów lub obron prac magister-

skich i licencjackich. W przerwach mogliśmy porozmawiać, wypić herbatę. Czasem szłyśmy na obiad. Prof. Dunin-Karwicka okazała mi sympatię, życzliwość. Pomogła mi też ogromnie, kiedy — przed podjęciem pracy na UMK — musiałam poddać się obowiązkowym badaniom lekarskim. Zaprowadziła mnie do Przychodni w pobliżu Domu Studenckiego, w którym tylekroć miałam później nocować, sprawnie zorganizowała wizyty u poszczególnych specjalistów, czekała na mnie na korytarzu, przed ich gabinetami, zajmując kolejkę. Dzięki niej zaoszczędziłam mnóstwo czasu, nauczyłam się też poruszać w nowym dla mnie miejscu. Przydało się to podczas kolejnych badań okresowych.

Sympatyczny pokój, który zajmowałyśmy z prof. Dunin-Karwicką (z czasem dołączyła do nas dr Aleksandra Rzepkowska), różnił się od innych. Stały w nim „domowe” meble, dawno już mające za sobą lata świetności: dwa głębokie fotele, obite szorstkim materiałem w ciepłym kolorze pomarańczowym, ława, do tego — szafa, dwa biurka, wieszak na ubrania. W którymś momencie wzbogaciłyśmy się o niewielki komputer. Podobnie jak meble nie należał do najnowszych, wystarczał nam jednak w zupełności.

Część szafy i biurka zajmowały drewniane skrzyneczki mieszczące poźółłkie karty katalogowe. Stanowiły one część archiwum gromadzonego i opracowywanego przez lata przez prof. Dunin-Karwicką. Ów „archaiczny” sposób przechowywania informacji wprawiał zapewne w zdumienie studentów, od dziecka oswojonych z elektronicznymi bazami danych, Internetem. Dla mnie był wzruszającym świadectwem (reliktem?) minionej epoki.

Cieszyłam się, gdy do pokoju zaglądali koledzy, studenci, doktoranci. Rozmawialiśmy nie tylko o sprawach związanych z etnologią/antropologią, ale też (nierzadko) o osobistych problemach. Miałam poczucie istnienia wspólnoty. Nie wyobrażonej, a rzeczywistej.

We wspomnianym pokoju egzaminowałam studentów I i II roku oraz MISH. Obowiązywał ich egzamin z etnologii Europy. Siedzieliśmy w fotelach, oddzielonych ławą. Nie traktowałam egzaminu jak „odpytywanie”, lecz rozmowę. Bardzo ważna była dla mnie nie tylko znajomość faktów, ale też samodzielne myślenie, poszukiwanie odpowiedzi na pytania, szerokie spojrzenie na problemy, o których rozmawialiśmy, umiejętność korzystania z różnych źródeł. Zdziwiłam się, gdy studentka I roku, podczas egzaminu, powiedziała z wyrzutem: *Bo pani profesor każe nam myśleć!* Zawołałam: *A jakże by inaczej!?* Zrozumiałam jednak, że w szkole odebrano młodym przywilej samodzielnego myślenia. Na studiach musieli się tego ponownie nauczyć.



W początkowych latach mojej pracy w Toruniu obowiązywały jeszcze egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Kilkakrotnie byłam członkiem komisji egzaminacyjnej. Kandydaci na etnologię zdawali z języka polskiego lub z historii. Musieli też odbyć rozmowę kwalifikacyjną. Dzięki niej bardzo szybko można było zorientować się czy osoba starająca się o przyjęcie na studia jest rzeczywiście nimi zainteresowana, jakie są motywy jej decyzji, czy ma autentyczne pasje, o których potrafi opowiadać z błyskiem w oku, czy tylko powtarza cudze słowa, encyklopedyczne definicje i wymienia tytuły książek, które jej podpowiedziano. Doskonale odróżnialiśmy tych, którzy mówili swoim głosem, mieli własne przemyślenia, od tych, którzy korzystali z porad, jak zrobić dobre wrażenie na członkach komisji kwalifikacyjnej.

Dzięki pracy w komisji poznałam (wówczas doktorów) Violetę i Macieja Wróblewskich, Mariusza Wołosa, Zbigniewa Girzyńskiego. Sekretarzem komisji była mgr Olga Kwiatkowska — moja późniejsza doktorantka (dziś pani doktor, pracująca w toruńskim Muzeum Etnograficznym im. prof. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej). Władze Wydziału Historycznego UMK reprezentował prof. dr hab. Jan Schiling. Atmosfera w komisji była wspaniała. Rozumieliśmy się doskonale. Dodawaliśmy sobie nawzajem ducha, gdy czuliśmy, że ogarnia nas zmęczenie. Egzaminy wstępne trwały kilka dni. Pracowaliśmy od rana do wieczora, z krótką przerwą na obiad.

Spśród osób zdających na etnologię zapamiętałam m.in. Annę Łuczak (obecnie jest ona związana z uniwersytecką administracją). Była zafascynowana kulturą Romów. Znała ją doskonale nie tylko z literatury, ale również z własnych, długoletnich, obserwacji. Przyjaźniła się z Romami mieszkającymi w miasteczku, z którego pochodziła, uczyła się ich języka, z zapałem opowiadała o romskich zwyczajach. Została przyjęta na etnologię. Była świetną studentką. Napisała znakomitą pracę magisterską, dotyczącą małżeństw polsko-romskich. Szkoda, że pani Ania nie zdecydowała się na studia doktoranckie.

Jedną z kandydatek na etnologię, pochodzącą z centralnej części Polski, zapytałam, dlaczego chciałaby studiować właśnie w Toruniu. Odpowiedziała: *Bo Toruń to miejsce magiczne*. Nie potrafiła wyjaśnić, na czym polega magia tego miasta. Być może nie da się tego wytłumaczyć, zamknąć w słowach, dotykamy bowiem sfery uczuć, wrażeń, doświadczeń osobistych, czegoś tajemniczego, nieuchwytnego. Dziewczyna znalazła się na liście osób przyjętych na etnologię, nie podjęła jednak studiów na UMK. Być może pociągnęła ją inne „magiczne” miejsce...





Ilekcroć autobus, którym podążałam na zajęcia, wjeżdżał (od strony dworca kolejowego Toruń Główny) na most łączący brzegi Wisły, czułam lekki ucisk w gardle, przyspieszone bicie serca. Czeakałam aż za oknem pojawi się niepowtarzalny widok – panorama Starego Miasta. Obraz ten widziałam wielokrotnie, nigdy mi jednak nie spowszedniał, nie zobojętniał.

Z autobusową przeprawą przez Wisłę mam również mniej przyjemne wspomnienia. Przede wszystkim – ogromne korki i niepokój, czy zdążę na zajęcia, czy nie ucieknie mi pociąg, którym miałam wrócić do Warszawy. Zapadły mi również w pamięć inne obrazy. Jeden z nich przedstawia budzący grozę widok wezbranych wiosną wód rzeki, występujących z brzegów, zalewających nadbrzeżne łąki, krzaki. Drugi ma związek z pojawieniem się w Toruniu wirusa ptasiej grypy, wczesną wiosną 2006 roku. Nosicielami wirusa były łabędzie mieszkające nad brzegami Wisły, w pobliżu Bulwaru Filadelfijskiego, na tzw. Kępie Bazarowej. Dramatyczne komunikaty prasowe i telewizyjne donosiły o niebezpieczeństwie rozprzestrzenienia się choroby, o zagrożeniach, jakie stwarzała dla ludzi, o działaniach podejmowanych przez władze miasta i inne instytucje. Mówiono o konieczności uśpienia łabędzi. Miałam nadzieję, że tak się nie stanie. Kiedy przejeżdżałam przez most, z niepokojem patrzyłam czy brzegiem rzeki spacerują białe ptaki. Oddychałam z ulgą, gdy je dostrzegłam. Niestety, w którymś momencie podjęto decyzję o uśpieniu części stada.

W dniu, w którym zaczęłam pisać tekst do tomu mającego uczcić jubileusz siedemdziesięciolecia Katedry Etnologii UMK, dostałam z Torunia widokówkę. Przysłała ją, mieszkająca w tym mieście, koleżanka mojej śp. Mamy. Obok, znanych mi doskonale, Łuku Cezara i Bramy Mostowej na pocztówce znajduje się fotografia panoramy Torunia od strony Wisły. Zbieg okoliczności? Przypadek? Znak?

Jedno ze zdjęć umieszczonych na widokówce przedstawia pomnik Kargula i Pawłaka, bohaterów filmu pt. *Sami swoi*. Nie wiedziałam, że te – znane mi doskonale z filmu – postacie mają w Toruniu swój pomnik. Nie wiedziałam też o istnieniu pomnika „łabędzia ocalonego z ptasiej grypy”. Na informację o nim natknęłam się w Internecie (*Pomnik łabędzia...*). Może kiedyś uda mi się zobaczyć wspomniane miejsca... Chciałabym też zajrzeć na Stare Miasto, by rzucić okiem na – dawno niewidzianą – figurkę Fafika,

psa profesora Filutka. Postacie te znam od dziecka (w moim domu regularnie czytano „Przekrój”). Po latach dowiedziałam się, że Zbigniew Lengren – autor rysunków publikowanych w tym tygodniku – był związany z Toruniem. Pierwowzór dla prof. Filutka stanowił jeden z profesorów toruńskiej uczelni (Czachowski 2007: 75). Dziś figurka Fafika należy do gatunku „sztucznych atrakcji”, „wymyślon[ych] na użytek turystów” (Tamże), najchętniej przez nich fotografowanych na pamiątkę pobytu w Toruniu (Tamże).

Badacze spostrzegli, że turyści coraz częściej utrwalają na fotografiach miejsca niezwiązane z odległą przeszłością (np. „sztuczne atrakcje”, sklepy, reklamy), kojarzące się z wydarzeniami nagłaśnianymi przez media, jak „ptasia grypa”, z obrazami utrwalonymi w filmach (Tamże: 76–77)<sup>3</sup>. Sądzę, że wspomniane zjawisko będzie się pogłębiało, zważywszy na słabnące zainteresowanie historią i lekceważący stosunek wielu osób do przeszłości.



Pobyty w Toruniu wypełnione były pracą. Bolesnie odczuwałam brak czasu na zwiedzanie miasta, udział w jego bogatym życiu kulturalnym, poznawanie nowych miejsc, na spotkania towarzyskie. Czwartkowe zajęcia trwały do późna, w piątkowe popołudnia spieszyłam do domu. Musiałam wracać do Warszawy. Miałam obowiązki rodzinne i zawodowe. Z przykrością odmawiałam osobom zapraszającym mnie do swoich domów, na koncerty, przedstawienia teatralne, wernisaże wystaw, absolwentom, którzy chcieli świętować uzyskanie dyplomu wspólnie z wykładowcami.

Pamiętam dwie studentki etnologii, które tańczyły w teatrze im. Wilama Horzycy. Kilkakrotnie zapraszały mnie na spektakle. Oferowały pomoc w zakupie biletów. Wiem, że byłoby im miło, gdybym przyszła. Ja też chętnie zobaczyłabym przedstawienie, w którym występowały. Niestety, nie mogłam przedłużyć pobytu w Toruniu. Dzieliłam los wielu osób pracujących poza miejscem zamieszkania, funkcjonujących pomiędzy różnymi „światami” (o doświadczeniach osób dojeżdżających do pracy w Katedrze Etnologii UMK patrz Nadolska-Styczyńska 2012). Bywało, że – budząc się rano – zastanawiałam się, gdzie jestem: w Warszawie czy w Toruniu?

---

<sup>3</sup> Autor przypomniał, że w Toruniu „turyści odwiedzają (...) brzeg Wisły, gdzie zaczynał się film *Rejs*” (Czachowski 2007: 76; kursywa w oryginale).

Kiedy miałam trochę czasu (godzinę – dwie) zaglądałam na Starówkę. Za każdym razem odkrywałam to miejsce na nowo. Dlaczego uparcie tu wracałam, nie szukając czegoś nowego? Co „ciągnęło” mnie właśnie tutaj? Magia miejsca? Tajemnica? Przyzwyczajenie, które nie przerodziło się w rutynę?

Na Starówce spotykałam setki turystów, nie identyfikowałam się jednak z tą grupą. Nie spoglądałam na miasto oczyma turysty (o takim patrzeniu na Toruń zob. Czachowski 2007). Nie miałam aparatu fotograficznego – najważniejszego wyróżnika współczesnego turysty (Tamże). Nie myślałam o fotografowaniu i „zaliczaniu” w ten sposób odwiedzanych miejsc” (Tamże: 72). Widzieliśmy zapewne to samo, chodziliśmy tymi samymi ulicami, zatrzymywaliśmy się na staromiejskim rynku, przyjeżdżaliśmy jednak do Torunia w różnych celach.

Lubiłam przedświąteczne kiermasze. Od dziecka przepadam za targami, jarmarkami, odpustami, bazarami. Nie muszę niczego kupować, wystarczy mi samo oglądanie, chłonięcie specyficznej atmosfery, przyglądanie się ludziom i towarom wystawionym na sprzedaż.

Któregoś dnia na staromiejskim rynku obserwowałam podeksytowane dzieciaki, kupujące – na pamiątkę wycieczki do Torunia – drewniane, kolorowe miecze i inne akcesoria rycerskie. Zdecydowanie mniej interesował je pomnik Kopernika, znajdujący się nieopodal straganu z pamiątkami. Dzieciom z pewnością bliższa jest zabawa niż historia i jej pomnikowe postacie.

Moje wizyty na Starym Mieście były uzależnione od planu zajęć, obron, egzaminów, a także od rozkładu jazdy pociągów. Przychodziłam tu, żeby choć na chwilę oderwać się od codzienności, pospacerować, popatrzeć, pobyc w bliskiej mi przestrzeni. Wpadałam do baru mlecznego na pierogi i surówkę lub do którejś z kawiarenek, na ciasto i herbatę. Regularnie zaglądałam do sklepu firmowego, w którym sprzedawano pierniki. Kupowałam je dla siebie i bliskich mi osób. Chciałam obdarować je oryginalnymi słodyczami, a zarazem – podzielić się radością, jaką sprawiał mi każdy pobyt w Toruniu. Niektóre rodzaje toruńskich pierników można było kupić w Warszawie, wydawało mi się jednak, że smakują inaczej. Jakby pozbawiono je czegoś szczególnego. Odrobiny magii?

W staromiejskim sklepie z pamiątkami kupiłam kilka długopisów z napisem „I love Toruń” (białe litery na czarnym tle, serduszek – rzecz jasna – czerwone). Niestety, bardzo szybko je zgubiłam (gubienie długopisów „to moja specjalność”).

Obowiązkowym „punktem programu” w Toruniu były wizyty w księgarniach. Zaglądałam do sklepów na Starym Mieście i tych

w pobliżu akademików. Musiałam ograniczać zakupy. Ile można włożyć do i tak już wypchanego plecaka, z którym trzeba poruszać się po mieście, podróżować autobusem, pociągiem? Ile można unieść w rękę? Najczęściej kupowałam kilka książek; tytuły pozostałych, interesujących mnie prac zapisywałam, by potem poszukać ich w warszawskich księgarniach i bibliotekach.

Jeździłam z plecakiem. Było to wygodne, nie wyglądało jednak zbyt elegancko. Żeby poprawić mój wizerunek, córki obdarowały mnie niewielką walizką na kółkach. Pojechałam z nią do Torunia tylko raz. Trzeba ją było dźwigać po dworcowych schodach, wnosić do pociągu i autobusu. Nie sprawdziła się zdecydowanie na odcinku drogi od Katedry Etnologii do osiedla przy Gagarina, koło garaży. Tego dnia padał deszcz ze śniegiem. Kółka walizki grzęzły w błocie. Do DS dotarłam zmęczona, z ubłoconą walizką, w butach noszących ślady błotnistej mazi. Odtąd podróżowałam wyłącznie z plecakiem. Zwracał uwagę, budził komentarze (najczęściej były one wyrazem troski czy nie jest dla mnie zbyt ciężki), okazał się jednak zdecydowanie wygodniejszy od walizki na kółkach. A może, po prostu, był bardziej „etnograficzny”?

Miałam wrażenie, że w Toruniu czas płynie wolniej niż w stolicy (właśnie płynie, upływa, nie biegnie). Kiedyś robiłam zakupy w sklepie w pobliżu Rektoratu. Pospiesznie wkładałam je do torby, nerwowo wpychałam do portmonetki pieniądze wydane przez kasjerkę. Stojący za mną starszy mężczyzna powiedział życzliwie: *Niech się pani tak nie spieszy, spokojnie, bez namysłu* odparłam: *Nie umiem inaczej, jestem z Warszawy.*

W osiedlowych sklepikach znajdujących się po drodze do DS kupowałam artykuły spożywcze na kolację i piątkowe śniadanie. Poszukiwałam lokalnych specjałów. Przepadałam za „serniczkami”. Kiedyś wypatrzyłam go w jednym z warszawskich sklepów. Smakował inaczej niż ten, który jadłam w Toruniu. Podobnie jak w przypadku pierników, ważne okazało się miejsce zakupu i konsumpcji. Zabrakło toruńskiego klimatu, specyficznej atmosfery towarzyszącej spożywaniu posiłków w DS.



Polubiłam dydaktykę. Sprawiało mi przyjemność przygotowywanie się do wykładów, dzielenie się wiedzą ze studentami, prowadzenie ćwiczeń, seminariów i konwersatoriów. Cieszyłam się, gdy

ich uczestnicy zadawali pytania, rozmawiali ze mną o swoich zainteresowaniach (czasem także o osobistych problemach), wyjeżdżali na stypendia naukowe, pisali prace na podstawie samodzielnie zebranych materiałów.

Studenci sami wybierali tematy prac magisterskich i licencjackich, referatów na ćwiczenia i konwersatoria. Wymagało to ode mnie nieustannego dokształcania się, nadążania za ich pomysłami, nie chciałam jednak niczego narzucać. Uczyliśmy się od siebie nawzajem. Niektórym osobom podjęcie decyzji o wyborze tematu zabierało sporo czasu, czekałam jednak spokojnie. Chciałam, żeby poświęciły się temu, co jest im bliskie, co naprawdę je interesuje.

Jestem wdzięczna magistrantom, którzy przychodzili na seminarium zaczynające się w piątki o godz. 8.00 (był to pierwszy rocznik, który podjął studia magisterskie na toruńskiej etnologii). Dla wielu z nich był to „środek nocy”. Dla mnie też. Pamiętam, jak moja młodsza córka, przyzwyczajona do tego, że w Polskiej Akademii Nauk miałam nienormowany czas pracy, zapytała z wyczuwalnym w głosie zdziwieniem i lekką ironią: *Mamo! Ty do pracy na ósmą rano?*

Dziękuję tym uczestnikom ćwiczeń, seminariów i konwersatoriów, którzy pracowali systematycznie, angażowali się w dyskusje, zadawali ważne, dociekliwe pytania, nie bali się myśleć samodzielnie.

Osoby przygotowujące prace magisterskie zachęcałam do mówienia nie tylko o osiągnięciach, lecz także o tym, czego, mimo podejmowanych prób, nie udało im się zrealizować. Prosiłam, by nie traktowały tego jak porażki, lecz jako okazję do refleksji, poszukiwania nowej drogi do celu, podzielenia się z innymi swymi doświadczeniami badawczymi. Przypominam sobie o tym, ilekroć sama, z jakiegoś powodu, muszę rezygnować z obranej drogi badawczej, zastanowić się nad innym podejściem do interesujących mnie zagadnień.

Bardzo przeżywałam obrony prac magisterskich i licencjackich, nie tylko te, w których uczestniczyli studenci piszący prace pod moim kierunkiem. Wzruszały mnie kwiaty, którymi — po obronach — dziękowano członkom komisji. Tworzyły ogromne, wielobarwne bukiety. Bałam się, że nie wytrzymają kilkugodzinnej podróży do Warszawy, przeciągów, zmian temperatur (inna była temperatura na dworze, inna w autobusie i w pociągu). Stosowałam wielokrotnie wypróbowany sposób: owijałam końce łądy mokrą ściereczką, okręcałam folią, pakowałam bukiet w papier. Działo niezawodnie. W domu z radością i wzruszeniem wstawiałam kwiaty do wazonów. Cieszyłam się nimi przez wiele dni. Były piękne, zdobiły mieszkanie, miały też w sobie cząstkę Torunia. Przypominały tych, którzy

mnie nimi obdarowali, Katedrę, miejsce, z którym czułam się związana emocjonalnie.

Toruń kojarzy mi się z satysfakcjonującą, niezwykle ciekawą pracą, wolną od rutyny, monotonii, ze zdobywaniem nowych doświadczeń, pokonywaniem własnych ograniczeń, lęku przed nowymi wyzwaniem. Jest też miejscem, w którym poznałam wiele wspaniałych osób. Wśród nich są studenci, wykładowcy, panie urzędniczki z Dziekanatu WH i Rektoratu, panie szatniarki, sprzątaczkę, portierki, bibliotekarki. Z kilkoma pracownikami Katedry i jej absolwentami do dziś utrzymuję kontakty mailowe lub/i telefoniczne. Cenię je sobie ogromnie.

W specyficzny sposób z Toruniem łączą mnie książki, w których wydaniu ma swój udział moja śp. Mama, Krystyna Kabzińska. W latach 1996–2007 współpracowała Ona z prof. dr hab. gen. bryg. Elżbietą Zawacką — Honorową Obywatelką Miasta Torunia, przyjeżdżała na organizowane przez nią konferencje. Moja Mama jest też redaktorką dwóch tomów zatytułowanych *Sylwetki kobiet-żołnierzy*, wydanych przez Fundację Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek (por. Kabzińska K. 2003, 2006). Od marca 2009 r. jest to Fundacja General Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie oraz Wojskowej Służby Polek. Obie książki recenzowali znani historycy, związani z UMK: prof. dr hab. Waldemar Rezmer i prof. dr hab. Jan Schiling.



Od studentów i pracowników Katedry dowiedziałam się o antagonizmach między Toruniem i Bydgoszczą, „odwiecznej” rywalizacji między tymi miastami (więcej na ten temat patrz Kwiatkowska 2007). Wspomniany antagonizm przejawiał się m.in. w zachowaniach kibiców lokalnych drużyn sportowych (Tamże: 89–90; por. Konczal 2010). Na ścianach toruńskich domów nieraz widziałam świadczące o nim napisy. Pracując w Toruniu, czułam się związana z tym miastem, miałam tu znajomych, nie uczestniczyłam jednak we wspomnianym konflikcie. Może gdybym mieszkała tu na stałe, od dawna... Generalnie staram się unikać konfliktów, antagonizmów, ostentacyjnego manifestowania podziałów na „swoich” i „obcych”, wiem jednak doskonale, że zjawiska te są częścią rzeczywistości, podobnie jak stereotypy.

W wielu rejonach Polski zetknęłam się z jawną niechęcią do osób z Warszawy, z negatywnym stereotypem warszawiaków i „warszawki”. Było to dla mnie zawsze bolesne doświadczenie. Przekonałam się osobiście, jak funkcjonują stereotypy, jak mogą być one odczuwane, jak bardzo krzywdzące jest przypisywanie jednostce stereotypowych obrazów reprezentowanej przez nią grupy. Pomna niemiłych doświadczeń, obawiałam się, jak zostanie przyjęta w Toruniu. Nie wiem jak jego mieszkańcy postrzegają warszawiaków. Nawet jeśli obraz tej grupy nie jest sympatyczny, jeśli składa się nań wiele negatywów i uprzedzeń, podczas pobytów w tym mieście nigdy tego nie odczułam.



Reforma nauki i zasad jej finansowania zmusiła mnie do odejścia z uczelni. Zaproponowano mi wprawdzie pozostanie w Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej, warunkiem było jednak przejście na tzw. pierwszy etat. Łączyłoby się to z dodatkowymi obowiązkami, wymagało częstszych przyjazdów. Ze względów rodzinnych nie mogłam sobie na to pozwolić. Musiałam zrezygnować z pracy na UMK. Była to dla mnie bardzo trudna decyzja. Pomyślałam: *Nie każdy może podążać za swoimi marzeniami...*

Z wdzięcznością myślę o tych, którzy pozwolili mi dokończyć prowadzenie seminarium magisterskiego. Uchroniło to osoby, które zaczęły pisać prace pod moim kierunkiem przed koniecznością zmiany promotora, a ja jeszcze przez kilka miesięcy miałam bezpośredni kontakt z Toruniem. Rozstawałam się z nim stopniowo, powoli oswajając się z myślą o odejściu z Katedry. Pożegnanie z jej pracownikami było wzruszające. Zaproszono mnie na uroczystą kolację, obdarowano elegancką broszką, kwiatami, serdecznymi słowami i sympatycznymi uśmiechami.

W 2011 roku wypromowałam ostatnich magistrów. W sumie było ich około osiemdziesięciu. Trzynastu studentów napisało prace licencjackie pod moim kierunkiem. Choć przestałam pracować na UMK, nie był to koniec moich kontaktów z Toruniem. Wiosną 2013 roku przyjechałam na obronę pracy doktorskiej pana Michała Rydlewskiego, absolwenta studiów I stopnia Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej (na studia II stopnia przeniósł się do Warszawy). Napisał, wysoko ocenioną, dysertację z filozofii, pod kierunkiem prof. dr. hab. Andrzeja Szahaja. Obrona (znakomita) odbyła się

w gmachu Instytutu Filozofii i Socjologii UMK („harmonijka”), niedaleko znanego mi doskonale Placu Rapackiego (miejsce przesiadek oraz początkowy/końcowy punkt wędrówek po Starym Mieście).

Przyjechałam wcześniej, mogłam więc pospacerować po Starówce. Obserwowałam też z zaciekawieniem fontannę znajdującą się w pobliżu budynku, w którym mieścił się wspomniany Instytut. Widziałam ją po raz pierwszy. Wraz z innymi spacerowiczami śledziłam – wyrzucane z dużą siłą – strumienie wody, których wysokość zmieniała się co chwila. Wokół fontanny biegały dzieci, rozchlapując wodę bosymi stopami. Gwar głosów mieszał się z szumem fontanny.

Jesienią 2013 roku przyjeżdżałam do Torunia, by uczestniczyć w egzaminach mego doktoranta, mgr. Sylwestra Kielbasiewicza. Egzamin z filozofii odbył się w znanej mi już „harmonijce”, kierunkowy (z historii) – w Collegium Humanisticum (ul. Władysława Bojarskiego 1). Byłam tu po raz pierwszy. Nowoczesny, ogromny gmach Collegium, do którego przeniosła się Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej UMK, wyposażony w klimatyzację i mnóstwo urządzeń elektronicznych, różnił się zdecydowanie od budynków zajmowanych wcześniej przez etnologów związanych z toruńską uczelnią. Miejsce to wydało mi się bezosobowe, nieprzystępne, przytłaczające człowieka swoją wielkością. Po raz pierwszy poczułam się w Toruniu obco. To niemiłe uczucie złagodził uśmiech pani pracującej w szatni. Znałyśmy się z czasów, kiedy Katedra mieściła się przy Szosie Bydgoskiej, wielokrotnie rozmawiałyśmy.

Czekając na egzamin, przysiadłam na parapecie ogromnego okna. Zatęskniłam za dawną Katedrą. Przywołałam wspomnienia... *To se ne vráti* – pomyślałam, cytując popularne powiedzenie.

Byłam jeszcze w Collegium Humanisticum na początku grudnia 2013 roku na obronie pracy doktorskiej pana Sylwestra. Spotkałam kilka osób, z którymi kiedyś pracowałam. Przywitały się ze mną serdecznie, czułam jednak, że nie należę do tego miejsca, choć nie dano mi tego odczuć w żaden sposób. Reprezentowałam przeszłość. Nie umiałam się pozbyć, tak przykrego dla mnie, poczucia obcości.



Minęły prawie dwa lata... Pod koniec września 2015 roku przyjechałam do Torunia na konferencję pt. *Odmiennosc w kulturze*, zorganizowaną przez Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej



UMK. Po wyjściu z pociągu — zaskoczenie. Gruntowny remont dworca Toruń Główny. Nowe perony, kasy przeniesione do innego budynku, zamknięte przejście podziemne, którym przez tyle lat spieszyłam do autobusu lub na dworzec (po zajęciach). Bywało, że w tunelu, po ulewnych deszczach, zbierała się woda. Trudno było przejść i nie zamoczyć butów.

Strzałki wskazywały drogę na przystanek, ulokowany w innym miejscu niż to, które zapamiętałam (numeracja autobusów nie uległa zmianie). Placyk, na którym niegdyś zatrzymywały się autobusy zmienił się w plac budowy. Zniknęły kioski, w których kupowałam bilety, by móc korzystać z komunikacji miejskiej. Na szczęście zapatrzyłam się w nie w dworcowym sklepiku.

Znajomy ucisk w gardle i radość, gdy za oknem autobusu ukazuje się Wisła i panorama Starego Miasta. Przystanek na Placu Teatralnym i kolejne zaskoczenie: można stąd dojechać tramwajem na Uniwersytet!

Z daleka dostrzegłam znajome sylwetki akademików, DS nr 10. Długo nie mogłam zasnąć. Obudziłam się nad ranem. Do rozpoczęcia konferencji — cztery godziny. Powtarzałam referat. Próbowalam czytać jakąś książkę, nie mogłam jednak skupić na lekturze. Wyszłam wcześniej. Niespiesznie podążałam do Collegium Humanisticum, przyglądając się po drodze znanym miejscom. Mijałam akademiki, Rektorat, gmach Biblioteki Uniwersyteckiej. Dotarłam do Collegium. Budynek nie wydał mi się „obcy”, choć jeszcze tak niedawno miałam wrażenie obecności w „nie-swojej” przestrzeni. Był taki sam, zmieniło się natomiast moje nastawienie. Potrzebowałam czasu, żeby zaakceptować zmiany.

Na parterze odebrałam materiały konferencyjne. Jedna z organizatorek pokazała mi drogę do szatni. Powiedziała: *Chodziłam na pani wykłady z etnologii Europy*. I dodała: *Cieszyliśmy się, że pani profesor do nas przyjedzie*. Serdeczne powitanie z Ołą, Tomkiem, Rafałem, Anią, panią Małgosią, panią Wandą. Krótkie rozmowy, wspomnienia. Radość i wzruszenie.

Program konferencji ogromny, bogaty, niezwykle ciekawy. Niestety, nie mogłam zostać do końca. Musiałam wracać do Warszawy. W szatni na parterze Collegium dostrzegłam tę samą panią, z którą tak lubiłam rozmawiać, kiedy przyjeżdżałam na zajęcia. Ostatnio rozmawialiśmy przez chwilę po obronie pracy doktorskiej pana Sylwestra. Niestety, tym razem tylko uśmiechnęliśmy się do siebie, pomachałyśmy ręką na pożegnanie. Zawołałyśmy: *Do widzenia!*

Po drodze na dworzec zajrzałam na Stare Miasto. Miałam mało czasu. W biegu kupiłam kilka paczek pierników (czekoladowe

serduszka, „katarzynki”, torciki piernikowe). Na prezenty. Sprzedawczyni zapakowała zakupy do białej reklamówki z logo producenta toruńskich słodczy. W prawym dolnym rogu reklamówki, patrząc od strony nabywcy, umieszczono fotografię piernikowego, lukrowanego serduszka w kolorze jasnobrązowym i – obok niego – czekoladowej, ciemnobrązowej „katarzynki”. Poprzedzono je wielką, jasnobrązową literą „I”. Całość nie pozostawiała wątpliwości: Kocham pierniki produkowane w Toruniu. Pomyślałam: *Świetne!* Reklamówkę mam do dziś. Schowałam ją na pamiątkę.

W kiosku na rynku kupiłam trzy długopisy z napisem: „I love Toruń” (zamiast słowa „love” – serduszko). Nie zdażyłam zobaczyć Fafika! Walizka na kółkach, ta sama, którą kiedyś ciągnęłam błotnistą uliczką, wracając z Katedry do DS nr 10, głośno turkotała po bruku. Czasem niosłam ją, przyspieszając kroku. Zatęskniłam za plecakiem...

Pociąg spóźnił się dziesięć minut. Czekałam spokojnie, obserwując maszyny budowlane, pracujące pełną parą, mimo późnej pory. Czułam radość z kolejnego spotkania z Toruniem. Następnego dnia umówiłam się z przyjaciółką na wiosenną wyprawę do tego miasta. Znow „mojego”.



„Toruń z pewnością zasługuje na niejedną opowieść” (Trapszyc 2007: 134). Każdy, kto się z nim zetknął opowiada „po swojemu”. Inne są opowieści jego dzisiejszych mieszkańców – tych, którzy są tu obecni od dziecka, pracują w Toruniu, czują się w nim zakorzenieni, obserwują zmiany lub mają poczucie ich braku (na ten temat patrz Białecka 2013), inne – tych, którzy znaleźli się tu jako turyści. Zapisy wspomnień mieszkańców miasta przenoszą nas w okres międzywojnia (Proch, Słupecka 2008) albo w lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, czasy rozwoju jednego z miejskich osiedli, Rubinowa (Kotowska-Cymerska 2008). Odległą przeszłość, jakże inną od tej zawartej w materiałach biograficznych i/lub zapisanej przez etnografów podczas badań terenowych, przywołują liczne zbiory legend i podań lokalnych (patrz np. Fenikowski 1972; Frąckowski 1997; Petrykowski 1983; Streich 2001). O Toruniu wiele mogą opowiedzieć badacze, zgłębiający dzieje i współczesność miasta, życie codzienne jego mieszkańców, ich kulturę. Do grupy tej należą m.in. autorzy prac zbiorowych: *Z trzeciego brzegu Wisły. Szkice*

z *antropologii miasta* (Czachowski et al. 2007) i *Do Torunia kupić kunia* (Czachowski, Miancki 2008), wydanych przez toruński Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Trzeba też koniecznie wspomnieć o tekstach opublikowanych w „Okolicach”, piśmie wydawanym przez Koło Naukowe Studentów Etnologii UMK, ukazujących m.in. różne oblicza Torunia (patrz np. Białicka 2013; Bobeck 2010; Kmiec 2010; Konczal 2010; Magalski 2013). Jeszcze inne są opowieści osób, które przez kilka lat były związane z Toruniem, przyjeżdżały tu do pracy, mieszkając na stałe w innym miejscu, dzieląc swój czas, swoje życie, między różne obszary, przestrzenie. Każda z opowieści dotyczących Torunia jest częścią biografii ich autorów, splata się też z historią miasta i związanych z nim miejsc, postrzeganych subiektywnie jako ważne, szczególne, „mocne”.

## Bibliografia

Białicka E.

2013 *Codziennosc na blokowisku (na przykladzie osiedla Rubinkowo w Toruniu)*, „Okolice”, t. 11, s. 147–163.

Bobek P.

2010 *O subkulturze kibicow Klubu Sportowego Toruń Unibax S.A. (Wybrane przejawy dzialalnosci)*, „Okolice”, t. 8, s. 259–280.

Czachowski H.

2007 *„Miejsca mocne” w przestrzeni Torunia. Antropologia miasta z perspektywy antropologii wizualnej i socjologii podróży*, [w:] H. Czachowski, O. Kwiatkowska, A. Miancki, A. Trapszyc (red.), *Z trzeciego brzegu Wisły. Szkice z antropologii Torunia*, Toruń, s. 71–78.

Czachowski H., Kwiatkowska O., Miancki A., Trapszyc A. (red.)

2007 *Z trzeciego brzegu Wisły. Szkice z antropologii Torunia*, Toruń.

Czachowski H., Miancki A. (red.)

2008 *Do Torunia kupić kunia*, Toruń.

Dynowski W.

1963 *Z dziedzin deficytowych etnografii polskiej*, „Etnografia Polska”, t. 7, s. 15–27.

Fenikowski F.

1972 *Piernikowe miasto*, Warszawa.

Frąckowski B.

1997 *Legendy i opowieści prawdziwe o Toruniu*, Toruń.

Kabzińska I.

2003 *Europa marzeń*, „Etnografia Polska”, t. 47, z. 1–2, s. 305–324.

- 2010 *Czy etnografia Europy wciąż jest w Polsce „dziedziną deficytową”?*, [w:] A. Malewska-Szałygin, M. Radkowska-Walkowiak (red.), *Antropolog wobec współczesności. Tom w darze Profesor Annie Zadrożyńskiej*, Warszawa, s. 63–76.
- Kabzińska K.
- 2003 *Sylwetki kobiet-żołnierzy*, t. 1, Toruń.
- 2006 *Sylwetki kobiet-żołnierzy*, t. 2, Toruń.
- Kmieć A.
- 2010 *Graffiti w przestrzeni miejskiej Torunia jako forma folklorystycznego przekazu*, „Okolice”, t. 8, s. 227–241.
- Konczal A.
- 2010 *Napisy sportowe na murach miejskich z uwzględnieniem lokalnego konfliktu Apatora Toruń i Polonii Bydgoszcz*, „Okolice”, t. 8, s. 242–258.
- Kotowska-Cymerska G.
- 2008 *O tradycji obrzędów ludowych w rodzinach miejskich pochodzenia wiejskiego na przykładzie osiedla Rubinkowo w Toruniu*, [w:] H. Czachowski, A. Mianecki (red.), *Do Torunia kupić kunia*, Toruń, s. 53–63.
- Kwiatkowska O.
- 2007 *„Co ma Toruń do Bydgoszczy”, czyli kilka uwag na temat toruńskiego wizerunku Bydgoszczy i jej mieszkańców*, [w:] H. Czachowski, O. Kwiatkowska, A. Mianecki, A. Trapszyc (red.), *Z trzeciego brzegu Wisły. Szkice z antropologii Torunia*, Toruń, s. 79–94.
- Magalski M.
- 2013 *Toruńskie pierniki figuralne: zanikająca tradycja? Krótka analiza przypadku*, „Okolice”, t. 13, s. 165–187.
- Nadolska-Styczyńska A.
- 2012 *„Przecież ja dojeżdżam”, czyli antropolog w podróży do pracy*, „Archiwum Etnograficzne”, t. 53, numer tematyczny: *Za miedzę, za morze, w zaświaty... Kulturowe wymiary podróżowania*, W. Olszewski, V. Wróblewska (red.), s. 193–201.
- Oberlan M.
- 2013 *Merinotex, obok Elany, był sztandarowym zakładem Torunia*, (tekst dostępny pod adresem: <http://nowosci.com.pl/243726,Merinotex-obok-Elany-byl-sztandarowym-zakladem-Torunia.html>; data dostępu: 28.05.2015).
- Petrykowski T.
- 1983 *Toruń niewiarygodny*, Toruń.
- Pomnik łabędzia...
- b.a. *Pomnik łabędzia ocalonego z ptasiej grypy nową atrakcją Torunia?*, (tekst dostępny pod adresem: [http://www.tur-info.pl/p/ak\\_id,5159,,torun,toruniu,pomnik,pominka,odloniecie,odlonieto,labeledz,labeledzia,ocalaly,grypy.html](http://www.tur-info.pl/p/ak_id,5159,,torun,toruniu,pomnik,pominka,odloniecie,odlonieto,labeledz,labeledzia,ocalaly,grypy.html); data dostępu: 28.05.2015).

Proch B., Słupecka M.

- 2008 *Piwo „kobyłe polskie”. Wspomnienia mieszkanki dzielnicy Mokre międzywojennego Torunia*, [w:] H. Czachowski, A. Miancki (red.), *Do Torunia kupić kunia*, Toruń, s. 41–52.

Streich W.

- 2001 *Opowieść o toruńskim pierniku*, Toruń.

Trapszyc A.

- 2007 *Miasto moje z widokiem na morze. Zaduma nad wodną przestrzenią Torunia jako wstęp do ekologii kulturowej nadwiślańskiej metropolii*, [w:] H. Czachowski, O. Kwiatkowska, A. Miancki, A. Trapszyc (red.), *Z trzeciego brzegu Wisły. Szkice z antropologii Torunia*, Toruń, s. 113–137.

Trojan M.

- 1994 *Wprowadzenie do etnologii Europy. Orientacje, problemy, założenia badawcze*, Wrocław.

Zadrożyńska-Barącz A.

- 1970 *Nowa dziedzina deficytowa — etnografia Europy*, „Etnografia Polska”, t. 14, z. 2, s. 207–214.